№ 23.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1841. Poznań, dnia 10. Listopada.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Władysław i Zofia.

Przez Julią T.......

Wtenczas jak młody orzeł, myśl moja skrzydlała,
W niebo wzlatać zaczęła ognista i śmiała,
A w sercu po raz pierwszy miłość się ozwała;
A w całém przyrodzeniu, w całym kręgu świata,
Jednę tylko istotę widziały me oczy.
O! był to czas anielski, był to czas uroczy!

K. Gaszyński.

Schadzka.

»Zofio, ty tak spóźniasz twoje przyjście, a ja tu ledwie nie umieram.«

»Zaprzestań tych wyrzutów kochany Władysławie, przecie nie zechcesz mi przyznać obojętności.«

»Już wszystko minęło,« rzecze młodzieniec, przycisnąwszy rękę dziewicy do ust i do serca — »przyszłaś, zapominam o całym świecie, a twoje jedno wejrzenie nagradza moją tęsknotę.«

To mówiąc, Władysław, wprowadza do altanki nieśmiałą dziewicę, gdzie usiedli oboje na darniowéj ławeczce. Noc była pogodna, wietrzyk lekki igrał z liściem kwiatów, krążył około dwojga kochanków i spocząwszy na ich licach, ginął wśród roskosznych krzewów, nie zostawiając śladu swojego przelotu. — Przyjaciel kochanków, wspaniały księżyc, wysunąwszy się zwolna z po za obłoków, odbijał czyste promienie w perełkach rosy; jego bladawy połysk padł także na łzawe oko dziewicy, która z rozrzewnieniem słuchała mowy młodzieńca.

»Droga Zofio! dla twego szczęścia wszystko gotówem poświęcić, lecz nasza pomyślność długo trwać nie może; bo rodzice zechcą cię wydać za mąż za bogatego i świecącego tytułami, a biedny Władysław nic nie posiada, prócz serca, które ich roszczeniom zadosyć nie uczyni.«

»Czemu, Władysławie, zakłócasz naszą spokojność obawą dalekiéj przyszłości — czyż moja miłość ma ci wszystkie godziny zatruwać?«

»Zofio, nie pojmujesz mię — ciebie kochając mógłbym się najszczęśliwszym nazwać z ludzi, gdyby nie przeszkody....«

»Nie myśl o nich,« przerwie Zofia — »kocham cię; czyż ci więcéj potrzeba?«

»Luba Zofio! gdy wśród gorzkich marzeń przeczucie moje stawia cię obok innego, o, wtedy złorzeczę memu istnieniu i godzinie, w któréj cię poznałem; dla czegoż los nas zbliżył nie dozwalając połączyć się na zawsze? dla czego?....«

»Aby się kochać i wrócić teraz do domu,« przerwie głos jakiś.

»Ach! to Magdusia!« zawoła Zofia.

»Tylko chwilkę jeszcze pozwól dobra Magdusiu,« dodał Władysław.

»Ej! pan ciągle o téj chwilce mówisz,« rzecze wesoła dziewczyna — »a ja chodzę tu na straży przez całą godzinę, państwo tylko wzdychacie, płaczecie; przecież i ja się nieraz kochałam, ale dalibóg łez tam nie było; pójdź pani do pokoju, obawiam się, by nie nadszedł stary Maciéj, popsułby nam wszystko na zawsze.«

»Tylko jeszcze z jednę chwilkę,« rzecze Władysław błagającym głosem.

»Dobrze, dobrze, pożegnajcie się państwo na dobranoc,« i po tych słowach wybiega z altany, a nasi kochankowie zapominają wśród czułych uniesień, iż się koniecznie rozstać potrzeba.

»Dosyć, dosyć tego,« zawoła z cicha wierna sługa — »właśnie teraz jedenasta bije, jeszcze nieraz będziecie z sobą razem, po cóż te szlochy?«

»Bądź zdrów, najdroższy!« rzecze smutna dziewica do młodzieńca i wkrótce znikła między drzewami gęstego szpaleru. — Tylko Władysław został, i jakby w zachwyceniu wyciąga dłonie.

Po tych słowach wróciwszy na to samo miejsce, gdzie z lubą siedzieli, pogrążony w bolesném dumaniu, zaczął rozmyślać o przyszłym losie.

»Któż jest ten młodzieniec?« zapyta czytelnik. — »Jest on synem cnotliwego człowieka, swéj matki wcale nie znał, bo go w niemowlęcym wieku odumarła, a ojciec cały dochód z szczupłéj majętności łożył na wychowanie jedynaka i miał tyle pociechy na łożu śmiertelném, iż mu nie potrzeba było troszczyć się o utrzymanie syna. Mężczyzna zawsze sobie prędzéj poradzi, niżeli kobieta, szczególniéj, gdy odniósł korzyść z pobieranych nauk. Osierociały Władysław po stracie ojca ukochanego, przedał małą cząstkę pozostałéj ziemi, co mu zaledwie na zaspokojenie wierzycieli wystarczyło, a tak z czystém sercem i sumnieniem udał się do domu starosty P.... za nauczyciela do syna. Starosta sam był godnym obywatelem; poznawszy piękny sposób myślenia młodzieńca, polubił go szczerze, lecz starościna, którą w dalszym ciągu opowiadania lepiéj poznamy, kobieta łącząca dumę z uprzedzeniem do najwyższego stopnia, gniewała się na męża, że nie wybrał cudzoziemca.«

»Będziesz ty miał pociechę z tego chłopca,« mówiła nieraz — »nauczyciel, któregoś przyjął, zaledwie zna Kraków i jego okolice; ręczę, że nawet nie wie, jak się kłaniają we Francyi, jakie tam zwyczaje; dobrze mawiał śp. mój wuj, że w Paryżu, Padwie, lub w Londynie, młody człowiek się najlepiéj okrzesze i nabierze manierów wielkiego świata; a przynajmniéj francuzkiego guwernera należałoby mieć dla dobrego tonu. Oj, bo też to rozum w tych Francuzach, co to za mowa, co słowo to i dowcip, a jakie ułożenie, na honor, aż miło spojrzeć na nich.«

Na to jéj starosta: »No, no, moja pani, rozgadałaś się waszeć, nie byłem i ja w Paryżu, a przecież umiałem zataczać tańce, gdy nieprzyjaciele w kraj wtargnęli; nie będąc nigdy wymuszonym modnisiem, dostałem cię za żonę i jesteśmy szczęśliwi; widzisz więc, że bez nabrania dziwactw zagranicznych, można być poczciwym człowiekiem.«

Zwykle po takiéj rozmowie jéjmość nadęta, wywierała swój gniew na biednym Władysławie, upokarzając go bez przyczyny.

Miłość.

O! jest jakaś kraina za krańcami świata,
Któréj wdzięki w snach słodkich myśl młodzieńcza skleja;
Tam szukamy nadziei, i ztamtąd nadzieja
Na skrzydłach szczęścia przylata!

K. G.

Żadna róża nie jest bez kolców — podobnież Władysław wśród przykrości doznawał prawdziwéj słodyczy. Pyszna starościna miała córkę jak anioł, stworzoną na uszczęśliwienie śmiertelnika. Nie powiem tu, iż Zofia była rosłą jak trzcina i że się na jéj licach kłócił karmin z alabastrem o pierwszeństwo, podobną jest każda kochanka w romansach, dosyć na tém, gdy sobie czytelnik wystawi naszą dziewicę wdzięczną przymiotami duszy czystéj jak nurt Wisły, w któréj się nieraz przeglądała; młoda i żywa była pociechą ojca i nadzieją wyrachowanéj matki. — Zofia właśnie wtedy zaczynała rok ośmnasty, gdy Władysław do nich przybył; kochając czule swego brata Wacławka, często mu towarzyszyła w godzinach nauki. Władysław miał tak piękną wymowę, szczególniéj gdy rozprawiał o dziejach ojczystych, z zapałem wyliczał dzieła walecznych Sarmatów, wtedy podobnie Demostenesowi kruszył serca swoich słuchaczy. Młody jego uczeń, przejęty gorliwością sprawy ojczystéj, wywijał natenczas drewnianą szablą, grożąc zniszczeniem wszystkim nieprzyjaciołom ojczyzny. Odmienne skutki sprawiła ta sama mowa na sercu dziewicy, która podczas opowiadań Władysława lękała się odetchnąć, a oko jéj wlepione w nauczyciela, śledziło najdrobniejsze jego poruszenie. Ich wejrzenia spotykały się coraz częściéj, oko jest zwierciadłem duszy, zrozumieli się oboje i odtąd dopiero można było przyznać, że młodzieniec ogniem niebieskim swe opowiadania ożywiał. Nieraz wpadłszy na treść cnoty, strumieniem szczytnych wyrażeń malował jéj wdzięki, wówczas dusze niewinnych kochanków złączone razem wznosiły się w przestworzu krainy, gdzie bez względu na różność stanów, czyste uczucia ludzi kojarzą.

W zamku nikt ani sobie wystawiał, żeby ubogi nauczyciel wzniósł oczy do bogatéj starościanki; on sam już zwątpiał, jakaś nadzwyczajna potęga podbiwszy jego umysł prześladowała go wszędzie bezustannie — czytając nic nie rozumiał, a pisał tylko o Zofii. W nadziei, że mu samotność ulgę przyniesie, błąkał się nieraz po borach, przebiegał doliny i wzgórza, lecz miejsce cierpień nie zmienia, cała natura nosiła obraz kochanki. »Władysławie!« mawiał sam do siebie — »uciekaj z domu, gdzie przedmiot twéj miłości przebywa. Zofia nigdy twoją nie będzie, dla czegoż samochcąc postępujesz ku zgubie!«

Po tych słowach wracał postanowiwszy opuścić ten dom; ale jakże słabym jest człowiek walczący z namiętnością, któréj nie chce zupełnie pokonać! Władysław skoro ujrzał nadobną dziewicę, natychmiast zapominał o postanowieniu, i czuł zbytecznie, że mu nie podobna opuścić tych miejsc, gdzie jego serce spokój straciło. — Magdusia, przezorna garderobiana panny Zofii, sama to najpierwéj poznała; bo czegoż nie spostrzeże zręczna dziewczyna, dwórka wygadana? Słysząc ciężkie westchnienia swéj pani, z żalem patrzyła na to, gdy biedne dziecię wstawało blade po bezsennéj nocy. Ona to pierwsza zakołatawszy do serc obojga kochanków, tyle zdołała swoim przemysłem, że się prawie co drugi dzień w ogrodzie widywali. Czuli oni oboje niepodobieństwo w osiągnieniu jedynego celu, ku któremu ich serca pałały, zbyt wiele przeszkód i uprzedzeń tamowało drogę do szczęścia: bogata starościanka miała posiąść niezmierny majątek, a Władysław, tylko ubogi nauczyciel, nie posiadał żadnych skarbów, prócz szlachetnéj duszy i pięknych przymiotów, lecz i tę tamę można było uprzątnąć, gdyby nie dumna matka, która się już dawno cieszyła w duszy, że jéj córkę poślubi kiedyś jaki kasztelan lub wojewoda, przyłączy herb drugi do rodzinnego. Gdyby potrzeba było wybierać między zgonem córki a uchybieniem klejnotowi przodków, kto wie, czy w uniesieniu dumy nie byłaby pierwszego przeniosła. Cóż dopiero, gdyby jéj kto wyjawił uczucia Władysława, o! wtedy wszyscy zmarli starostowie musieliby się w grobach poruszyć. — Zostawmy ją teraz usypiającą w strojnéj komnacie pod baldachinem karmazynowym; gdy lękliwa Zofia szybko przebiegłszy liczne ulice ogrodu, z wierną Magdusią udaje się na spoczynek, aby marzyć o tym, którego dopiero opuściła.

Już północ na wieży, ponura cisza panuje dokoła, tylko jeden Władysław nie śpi, on czuwa, ale nie wie, co się z nim stało; podobny do anioła strąconego z niebieskich podwoi, nie dowierza sobie, że już chwila szczęśliwości przeminęła — wreszcie chwiejącym krokiem do swéj izdebki powraca.

Imieniny.

Hej! żywo! ponczu, wina!
Niech się radość poczyna;
Przysięgam na mą duszę,
Upić się dzisiaj muszę.

Kniaźnin.

Nazajutrz przypadały imieniny starosty — równo ze dniem zaczęto się krzątać około przygotowań do uroczystości. Starosta żył kiedyś na dworze, mając tam wielkie znaczenie, lecz wpadłszy w niełaskę u królowéj Bony, opuścił Kraków i mieszkał w swoich włościach, leżących w pięknéj okolicy na lewym brzegu Wisły. Lubił on w gronie przyjaciół pędzić chwile wesołe, kuchnia zaopatrzona w przysmaczki, a piwnica w tokaj i małmazyą, znacznie się do zabaw przyczyniały. Przy dzisiejszém święcie cały zamek nosił cechę uroczystości; poótwierano liczne komnaty, których ściany okryte malowidłami z dziejów ojczystych, zdawały się przemawiać żywością obrazów; tu piękne wazony z chińskiéj porcelany zdobiły okna; tam miękkie adamaszkowe siedzenia zachęcały do spoczynku; tu znowu pozłociste bronzy raziły oko; wszędzie przepych z starożytnością połączony, świadczył o bogactwach dziedzica domu. — Przejdźmy do jadalnéj sali, ona nas więcéj zająć powinna, w niéj się zgromadzenie przy węgrzynie naradza nad dobrem kraju, z jéj murów okrytych herbami, obrazy przodków przyglądają się zdrożnościom potomstwa, które w stołowym zbytku trwoni skarby naddziadów. W takiéj to sali w pośrodku był stół kształtem podkowy uginający się pod ciężarem srebrnych i złotych półmisków, zastawionych na obrusie z kosztowną lisztwą, spadającym aż do saméj ziemi. Obok stał kredens obciążony roztruhanami z różnego kruszcu, a z pomiędzy nich wznosiła się Hebe naturalnéj wielkości, ulana ze srebra, mająca w ręku ogromny puhar, którym zwykle spełniano zdrowie gości i gospodarstwa.

Zofia wstawszy równo z jutrzenką, oczekiwała chwili sposobnéj, by ojcu złożyć życzenia, a dowiedziawszy się, że starosta już ubrany, pospieszyła do jego sypialni. Łzy jéj więcéj aniżeli słowa wyrażały uczucia, któremi rozczulony ojciec, przycisnąwszy ją do serca, rzecze z rozrzewnieniem: »Kochana córko! bogdajbyś została na zawsze chlubą twoich rodziców, jak dotąd jesteś ich nadzieją, a wtedy nic nie zbraknie mojemu szczęściu.« Zofia wyhaftowała ojcu piękny pugilares, a Wacławek napisał i powiedział długą oracyą łacińską; starościna zaś chcąc godnie uczcić swojego małżonka, złożyła mu w ofierze herbarz oprawny w ponsowy aksamit z drogiemi klamrami.

Koło dziesiątéj wszczęła się na dziedzińcu wrzawa, w pozłocistych rydwanach coraz więcéj przybywa gości, trzask biczów, rżenie koni, krzyki wąsatych forysiów, odbijały się o mury zamkowe; nie było tam porządku, każdy o sobie myślał. Wkrótce starosta poszedł do gościnnéj komnaty, gdzie go już grono przybyłych krewnych i przyjaciół oczekiwało, aby mu złożyć życzenia. W południe przyjechały damy, które już mężowie uprzedzili, wtedy dopiero zaczęto żywszą rozmową się bawić, gdyż wyłączne towarzystwo mężczyzn jest oschłe, równie jak grono

samych kobiet byłoby nudném — lecz gdy ich razem połączymy, duch wesela we wszystkich wstępuje.

Przyszła i Zofia do sali, włosy jéj gładko zczesane odsłaniały pogodne czoło, nie miała ona klejnotów na sobie, pączek róży świeżo zerwany zdobił jéj głowę, a biała szata ozdobiona lekkim rąbkiem z śnieżną przepaską, świadczyły, że się młodość najlepiéj wydaje, gdy nie jest modą skrępowana. — Dano znać do stołu, muzyka zagrzmiała narodowego, parami poszli goście.... Zofia szukała Władysława, wszedł i on niezabawem trzymając Wacławka za rękę; już każdy zajął miejsce, ostatnie dostało się młodzieńcowi, spojrzał na kochankę, a wyczytawszy w jéj jasném oku miłość tkliwą, o wszystkiém zapomniał, nie zważając na resztę przytomnych. Krzesło starościanki otoczył rój młodzieży, wyprzedzano się na wyścigi w przewidywaniu jéj życzeń, lecz ona nikogo nie widziała, prócz Władysława, który daleko siedział.

Zrazu towarzystwo zajęte było jedzeniem, aż gdy szumny tokaj milczenie przerwał, z jego strumieniem płynęły dowcipne żarty, w reszcie zaczęto mysleć o dworze krolewskim i o żonie Zygmunta I., a rozmowa coraz się stawała żywszą.

»Cóż waszeć myślicie panie szambelanie« — rzecze spasły jakiś wąsacz, poprawiając pasa, — »czy będzie co z nowego małżeństwa?«

»Na Boga, czyż nie wiecie że się temu cały senat i duchowieństwo opiera, nabardziej zaś królowa matka nie chce przypuścić tego związku.«

»Tak zapewne,« przerwie młody kasztelanic z przekąsem — »przewrotna Włoszka zbytecznie się przyzwyczaiła rządzić, aby teraz znieść innéj panowanie.«

»Dajmy temu pokój« — zawoła gospodarz, — »któż z pośród nas mógłby lepiéj nademnie zaświadczyć o jéj podstępach, pocóż mamy sobie przypominać to, co wszyscy aż nadto wiedzą.«

»Między nami powiedziawszy« — przerwie starościna nadętym głosem, — »nie chciałabym teraz być na dworze, gdzie nie ma porządku, a potém któżby mi się kazał kłaniać szlachciance, któréj równą jestem, kto wie nawet czyjaby strona przeważyła. Myślałam dawniéj że pokażę moję Zofię na dworze, lecz teraz nic z tego, dopóki ja żyję, moje dziecię nie będzie się płaszczyć przed jedną wdową Gastolda. Słusznie mawiał mój ojciec świętéj pamięci szambelan T.... że z młodego króla nic nie będzie, wychowany w sypialni swéj matki, tylko namiętnym być potrafi.«

»Cicho, cicho kochaneczko!« — rzecze starosta, — »ten król, któregoście wszyscy uważali za zepsute dziecko, okazywał już czém będzie.«

»A to w jakim sposobie?« — spyta się ktoś z boku.

»Czyż nie dowiódł stałości umysłu na ostatnim sejmie, daremnie go Kmita i Boratyński na klęczkach błagali, aby zezwolił na rozwód, odpowiedział im z zwykłą wspaniałością, że za nic w świecie nie złamie wiary swéj małżonce, którą przekłada nad wszystkie korony.«

»Nie widzę w tém nic wielkiego« — przerwie starościna, — »owszem dziwi mię, że król zwrócił oczy na Barbarę, czy już w naszéj ziemi zabrakło krasnych dziewic?«

»Widziałem tę panią na moje własne oczy, i miałem szczęście z nią mówić« — rzecze kasztelanic, — »ale przyznaję, że wdowa Gastolda, równie z powierzchownych wdzięków, jak i z przymiotów duszy zasługuje osiąść na tronie polskim.«

Starościna przygryzając wargi zaszęła o czém innèm mówić. Nie długo skończył się obiad, potém rozpoczęto tany, którym Zofia przodowała, a Władysław śpiesznie wyszedłszy, szukał spokojności w samotnéj izdebce. Dzień ten skończył się wśród wrzawy, dopiero nadedniem chciał każdy odpocząć, nazajutrz wszycy spali jeszcze, gdy ktoś zakołatał z lekka do drzwi Władysława; »kto tam?« — spyta młodzienieć.

»Przyjaciel« — odezwie się głos za drzwiami.

»Aha, to ty Magdosiu, poczekaj, zaraz otworzę, mów z cicha mógłby się Wacławek obudzić, cóż mi przynosisz nowego, możnaż widzieć twoją panią, powiedz dziewczyno, bo umieram.«

»Powoli, powoli, naucz się pan cierpliwości — dzisiaj z waszéj schadzki nic nie będzie, ale za to mam tu co innego‘« — po tych słowach wsunęła mu papierek w rękę i spiesznie odbiegła, a zakochany czytał co następuje: »Drogi Władysławie! Goście zajęli nasze pokoje, więc przepędziłam resztę nocy z mojemi towarzyszkami, a teraz gdy one usypiają kreślę te kilka wyrazów z równą boleścią jaką i ty będziesz przejęty, gdy się dowiesz że dzisiaj z przyczyny pobytu obcych osób w zamku, nie będziemy się mogli widzieć. Twoja na zawsze.«

»Na zawsze« — powtórzył Władyslaw, — »niewinna jak anioł, nie przeczuwa, że innemu kiedyś ślubować musi. — Dumni rodzice nie dozwolą nigdy, aby się bez stoponia człowiek łączył z ich rodziną.«

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Prelekcye w Poznaniu.

Rozpoczęty w zeszłém latowém półroczu kurs literatury niemieckiéj przez Dra Libelta, pomyślnie się powiódł. Liczni słuchacze płci obojéj dotrwali do samego końca. To powodzenie świadczy o znacznym postępie literackiego i naukowego życia w naszéj prowincyi, i zachęciło kilka innych osób, którym sprawa oświaty narodowéj jest droga, do wystąpienia w bieżącem półroczu zimowem z wykładem publicznym i w innych gałęziach nauk ścisłych. Mamy tu wykład chemii doświadczalnéj, historyi narodów słowiańskich aż do XV. wieku, encyklopedyi prawa i estetyki. U nas urząd publicznego nauczania jest trudny, bo tu wymagalności są większe niżeli nawet na uniwersytecie. Publiczność po większéj części z osób poważnych wiekiem i stanowiskiem złożona rości prawa do dojrzałego i wytrawnego sądu w wykładzie, i do oryginalnych, rzekłbym nadzwyczajnych pomysłów. Jedni chcą nadto świetności stylu, inni popularności wykładu, wszyscy żądają, aby im w prelekcyi coś świeżego, jędrnego dać na wety. Jest jeszcze pewna powierzchowność, pewne że powiem lenistwo umysłu, które unika gruntowności, jako rzeczy oschłéj, a goni tylko za tém, co przystępne, ubarwione, porywające poezyą. Są to zapewne łakocie umysłowe, nie można przecież zaprzeczyć że na tę wędkę wciąga się publiczność do umysłowéj czynności, i do zamiłowania samejże nauki. Osoby dla tego, które się tego trudnego podjęły obowiązku, dogodzenia w wykładzie publicznym tak różnorodnym żywiołom, nie uczyniły tego przez żadną dla siebie ambicyą, ale w rzetelnym zamiarze służenia sprawie narodowéj oświaty.

Kursa odbywają się tylko po godzinie na tydzień. Jest to prawda zbyt czasu mało, i niepodobna w nim wyłożyć przedmiotu w takiéj objętości, aby się mógł stać prawdziwą i gruntowną nauką dla słuchających. Prelekcye te mają zatém na sobie charakter kursów uniwersyteckich, tak nazwanych „publica", które naturalnie więcéj są polewą umiejętności, niżeli umiejętnością samą. Okoliczności miejscowe, brak mianowicie młodzieży stósownego wieku i usposobienia, brak uniwersytetu, stawiają dotąd niezłomne przeszkody nadawania kursom tym zupełnego naukowego pożytku przez wykład rzeczy rozciąglejszy i gruntowniejszy. Wszakże i taki już początek w dzisiejszych okolicznościach wart bardzo wiele i wielkich może być na oświatę korzyści, jeżeli mu publiczność upaść nie pozwoli, jeżeli go gorliwością i udziałem swoim wesprze i rozwinie. Prawieby o tém dziś wątpić nie należało, bo cóż może być pożądańszém nad taki pokarm ducha, którego długo łaknęliśmy? nad umiejętność na ojczystéj niwie uszczknioną, nad wykład wdziękiem ojczystéj mowy lubo umilający się razem do rozumu i do serca? Zda się że dziś już wie każdy, iż tylko wykształcenie stanowi i stanowić powinno prawdziwą zasługę człowieka, że tylko tędy droga do zasług i znaczenia; że zatem zbogacenie wiedzy naszéj, nie tylko rozległą rzeczy wiadomością, ale i wyższém myśli i ducha pojęciem, najszlachetniejszém i głównem winno być zatrudnieniem; że nakoniec nasze dziś położenie, jest takie, iż nam tylko ta jedna pozostała droga do osiągnienia godności narodowéj. Atoli mimo, że to każdy wie i czuje ileż to razy jednak powtórzyć u nas trzeba z owymi posłami Lacedemończyków, w Atenach: »Ateńczykowie wiedzą co jest dobre, ale tego czynić nie umieją.«

Bodajbyśmy tego w tym względzie już o sobie powiedzieć nie musieli, niechby już na zawsze przepadła owa obojętność, że nie powiem pogarda dla języka ojczystego, który powinien być najwyższą chlubą narodową i niechby nie pojawił się u nas więcéj ów zgubny a powszechny młodzieży naszéj kierunek, szukania przez ożenek karyery, i oglądanie się na wieś samą jako na sinekurę, z poniechaniem gruntownego oświecenia się, z puszczeniem w niepamięć wieczną nawet i owych pierwszych elementów oświaty. To była zguba nasza, i przy tych wadach nie będzie zbawienia. — Gdyby więc kursa publiczne tylko temu jednemu zapobiegły złemu; gdyby nauczyły pokochać język, pokochać umiejętności i nauki, jużby nieocenione były ich korzyści.

W ostatnim tygodniu rozpoczęły się wszystkie. — Pan Jakub Krauthofer, sędzia tutejszego sądu ziemsko-miejskiego, nauczał w pierwszéj prelekcyi swojéj we wtorek od 6—7. w wieczor, co jest prawo, jak powinno być pojmowane; okazał jego ważność i wpływ na wszystkie stósunki ludzkie, i przystępując nareszcie do encyklopedyi oświadczył, że jéj nie będzie wykładał na sposób zwyczajny po uniwersytetach, bo tu miejscowe okoliczności są inne; nie da zatem samych tylko ram, w które się dopiero umiejętność prawa wkłada, nie da samych kości po których się ciało prawoznawstwa dopiero obkłada; ale wydobędzie samą treść prawa, i da obraz malowanych jego obrazów, niby wianek z téj umiejętności uwity, zabytkami praw słowiańskich krasny. Mówca upatruje i w tych zabytkach, i w języku prawniczym słowian, nadewszystko zaś w téj okoliczności, że sławianie zawsze i wszędzie opierali

się wpływowi praw rzymskich, i w niepamięć puszczali instytucye germańskie, że oni właśnie są powołani do wyrobienia nowego pierwiastku, i nowego systemu prawa, do którego inne narody przyjść nie mogły dla tego, że się niewolniczo trzymały kodexu Justyniana, alboli praw staro-germańskich.

Zastanawia się nad bliskoznacznemi wyrazami prawo i prawda, które najdokładniéj w języku oznaczają powinowactwo znaczeń prawa i prawdy, bo prawo jest prawdą, a prawda prawem. W języku ruskim »prawda ruska« zowie się prawo ruskie. Prawo jest myśl boska, jedno zawsze i to samo, nieodmienne, tylko poznanie, pojęcie i wymiar prawa różny jest w czasie i narodach. Ale prawo z nieba zstąpiło na ziemie w serca ludzkie, i sumienie jest jego mieszkaniem. Tam się odzywa głos tego prawa przyrodzonego, ilekroć człowiek przeciw niemu wykroczy. Człowiek sam jest sobie sędzią, najlepiéj ocenia sprawy swoje, a sumienie, jako trybunał tajny, który go dniem i nocą nieodstępuje, wyrok pisze, zgryzoty sumienia i niepokoje są karą wewnętrzną zbrodniarzy. Mówca osłania nareszcie prawo, od skrzywionych o niem wyobrażeń, wzrosłych w skutek nadużyć sędziów. W Polsce mianowicie, powiada, upowszechniły się te wyobrażenia. Prawo jest jak pajęcyna, mówi Kochanowski, wróbel się przebija, a na muszkę wina; Krasicki, w swoim Doświadczyńskim zwolenników Temidy, nazywa szemierzami w sztuce wikłania i przekręcania prawa, i daje obraz nikczemnego wychowania prawników. Być to wszystko mogło, ale równie nieuwłacza powadze i prawości praw i ustaw, jak na słowo Boże spaść nie może wina tych, co je przekręcają.

Pan Dr. Matecki, lekarz praktyczny tutejszy, miewa co środa od 5 — 6. wwieczór kurs chemii doświadczalnéj. Na pierwszéj prelekcyi wywiódł znaczenie i pożytek téj nauki w rzędzie nauk przyrodzonych, i wskazał zarazem metodę, któréj się w wykładzie swoim trzymać myśli. Sądzi że w chemii, gdzie wszystko jest oparte na pojawach, doświadczenia iść powinny przed nauką, z nich dopiéro, kiedy słuchacze już poznali zmysłem co zaszło i co się zrobiło w ciele jakiém, należy wykazać i objaśnić, jakiemi się rozkład ciał dzieje drogami, i jakie to są te ciała, na które się inne rozłożyło. — Pierwsze doświadczenie było na proszku czerwonym, który włożony w szklanną retortę, i ogrzany płomieniem zaczął zamieniać się na czarny, a w rurce szklannéj wodą wypełnionéj, i dnem do góry stawionéj, w wanienkę, zaczęły bąble rzęsisto wstępować do góry, i z pod dna wytłaczać wodę w wanienkę. Gdy już znacznie wytłoczyła się woda z rurki, a ów proszek zmienił się w żywe srebro, które retortę oblekło zwierciadłem, wtenczas wyjaśnił nam dopiero Dr. Matecki, że proszek on czerwony jest oxydem żywego srebra, to jest połączeniem się kwasorodu z tym metalem; że przez ogrzanie kwasoród rozwięzuje się z proszku, ulata do rurki szklannéj, i jako ciało lżejsze, zdąża przez wodę do góry: ponieważ zaś wytłacza wodę, widać, że gaz kwasorodu ma własności ciała, objętość i massę; po ulotnieniu się zaś wszystkiego gazu, zostało żywe srebro, które mając pociąg do ciał, obłożyło się na szkle retorty, i zrobiło zwierciadło. Wykładający przystąpił daléj do wykazania własności kwasorodu; powiedział, że nietylko z oxydu żywego srebra, ale i z innych oxydów, lubo trudniéj, da się rozwinąć: tak oxyd manganu (biały proszek), oxyd ołowiu (szary proszek), na ten sam sposób, tylko przez wyższy stopień ciepła dają się rozwinąć na pierwiastki, na metal i kwasoród. W rezerwoarze gazowym, który miał ku doświadczeniom, miał znaczną ilość rozwiniętego kwasorodu, którym według potrzeby napełniał flaszki. W tak napełnionéj flaszy gazem palił różne ciała, byle tylko iskierką zatlone. Papier, drzewo, płomieniem się zaraz zapaliło. Piękny widok sprawiło palenie siarki w kolorach błękitno-czerwonych, i palenie fosforu w jaskrawym żarze słońca. Ztąd się pokazała własność kwasorodu, że jest powietrzem palném, aby zaś siłę palenia okazać, drut nieco rozpalony włożył w butel gazem napełnioną, a niebawem zaczęło się palić żelazo, tryskać iskrami, i od siły ognia pękła butel i okrajała dno dość grube. — Przy spaleniu ciał w tym gazie, mianowicie fosforu, pokazały się dymki ciemno-białawe, oblegające szklanne naczynie, są to resztki ciała spalonego, i smak ich bywa kwaskowy, ztąd poszła nazwa kwasorodu. P. Matecki zbija daléj teoryą flogistonu, to jest owego dawnego mniemania, jakoby przy paleniu ciał, flogiston, t. j. płomyk, ognik, ciało jakies ukryte, ulatniało się. Albowiem po spaleniu ciał zważone resztki nietylko nic nie straciły na wadze, coby być musiało, gdyby coś z nich było uleciało, ale nawet stały się cięższe od wagi ciała przed spaleniem, bo się połączyły z kwasorodem. Palenie zatém nic innego nie jest, tylko połączenie się kwasorodu, który jest częścią powietrza z ciałem palném, z którego to połączenia powstają dwa nowe ciała: płomień i resztki niepalne, czyli popiół. — Nakoniec kwasoród jest życiodawcą wszystkich organizmów, czerwieni czarną krew, i sprawia szybszy jéj obieg. Ptak wsadzony w naczynie samym kwasorodem wypełnione, czuje lek-

kość oddychania i oddycha prędzéj, ale oraz życie jakby rosło, krew prędzéj obiega, z przyjemności uczuć powstaje szał życia, i śmierć. Druga część powietrza, pozostała po odjęciu kwasorodu, jest nieprzydatna do życia, i w niém od razu ptak się dusi. Dla tego ludzie zamknięci gromadą w ciasném miejscu, zużywszy oddychaniem kwasoród, który przez płuca w krew przechodzi i ją ożywia, oddychać w końcu muszą samym saletrorodem i duszą się. — Ostatnim przedmiotem prelekcyi było powinowactwo chemiczne ciał. Dotąd jedno ciało np. atmosferyczne powietrze, albo oxyd, rozkładało się na swoje osobne pierwiastki, ale kiedy dwa ciała połączymy, z których każde ma dwa pierwiastki, tedy w połączeniu pierwiastki te krzyżują się, jeden pierwiastek z ciała A, łączy się z jednym pierwiastkiem ciała B, do którego czuje pociąg szczególny, i tworzy nowe ciało C, a pozostałe dwa pierwiastki łączą się także z sobą i tworzą nowe ciało D. — Radzibyśmy, gdyby nam p. Dr. Matecki to ważne zjawisko chemiczne także experymentem dowiódł.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WYJĄTKI

z niedrukowanych dotąd pamiętników

XAWEREGO PI............

bylego akademika wileńskiego, teraz żołnierza w artyleryi korpusu kaukazkiego.

.... Po przeglądzie żołnierzy, wychodzących na wyprawę, wyruszyliśmy dnia 15. Marca 1840. do Tyflisu, dla przyjęcia górnych dział, bo nasze ciężkie. Z początku zdało mi się to przechadzką, gdyż rańce (lederwerk) pozwolono na podwodę położyć; — piękne położenie śród gór, dzień pogodny, a wreszcie i wydobycie się z moich tęsknych hambor *), uprzyjemniały tę przechadzkę. Stanęliśmy na nocleg przy stajniach naszéj bateryi — tu obszerna równina ścieląca się do Tyflisu werst 30, w pobliżu dwie niemieckie kolonie. Znudzony racyą powszednią, żołnierską zupką, stęskniony za ojczystém niebem, namówiłem ochotnika Krauzego, wojażera po całéj Europie, pójść do kolonii. Już sam widok kolonii pocieszył mnie widokiem Europy, cóż dopiero, kiedy u poczciwego Dejczera wypiliśmy po kielichu nie śmierdzącéj bordiakiem, jak tu powszechnie — ale s t a r k i, ukraińskiéj naszéj wódeczki. Kiedyśmy potém zjedli kartofel smacznych w mundurach ze świeżém masłem i kaszy z mlekiem, nie posiadałem się z radości — lecz to nic jeszcze: ale ta czystość w domu, ta uprzejmość i ten dostatek prostego niemieckiego rólnika zachwycał mnie. Tak pocieszony wróciłem do swego lagieru — noc była ciemna, wiatr dął gwałtowny z wąwozów gór po za górą i tworzył dziwnie straszną harmonię z wściekłym szumem rzeki. Nad urwistym wysokim jéj brzegiem paliły się ognie naszych żołnierzy i oświecały w około siebie siedzące ich marsowe postacie; podchmielone śpiewy wojaków mieszały się chaotycznie z muzyką natury. Chodziłem wzdłuż urwisk rzeki pomiędzy ogniami, lub z dala z mroków patrzyłem na ich łuny — podobała mi się ta scena, zdało mi się, żem i ja bohatér zahartowany już w wojennych trudach; myślałem, czyli że tak rzekę, dumałem, i myśl mi przyszła — ale jakaś daleka, tęskna, ponura, i poczułem chłód na dworze, zmarzłem potężnie, a więc nie wiele myśląc obwinąwszy się w szenelę (płaszcz żołnierski), poszedłem spać do stajni na siano — ot i cała poezya i moja pociecha. Nazajutrz ledwiem się dowlókł do Tyflisu. Tu przez tydzień odżyłem wśród przyjaciół i znajomych, których tu wielu — a pożegnawszy się z towarzyszami wspólnych losów, daléj w drogę na wojnę. Ja na wojnę! — ja literat w Wilnie wypieszczony! Wiatr mi garściami żwiru zasypuje twarz i oczy — zdaje mi się, że to kartacze nademną latają; potykam się z wiatrem, który mnie w górę podnosi, i choć na czworakach przywlókłem się na nocleg, prawie ślepy z niezmiernym bólem w oczach, a o nogach nie mówię, bom ich nie czuł. W ciemnéj szakli brudnéj i ciasnéj, siedzieli koledzy naokoło płonącego ogniska, nad którém spory kocieł krupniku o sufit zawieszony zaostrzał apetyt widzów; doskonały krupnik, a tém lepszy, że się w nim jeszcze przypadkiem świeca skąpała i stopiła. Ten nocleg był w Mechecie, dawnéj stolicy Gruzyi, dziś nędznèm a u l e wiosce czy miasteczku, nie wiem jak nazwać — wprawdzie została jeszcze forteca z muru obwalona w koło, a w środku niéj cerkiew wielka, a może największa w całéj Gruzyi, gdzie są złożone ciała królów tutejszych — odwiedziłem te groby, nie mógłem wyczytać napisów, prócz jednego po rusku, a ten był Heraklejusza, ostatniego z królów. Idąc do W ł a d y k a u k a z u, przeprawa nasza przez góry była to prawie przeprawa Hannibala przez Alpy — z Kaszauru do Kobii przechodzi droga przez sam szczyt Kaukazu; tu śnieg wieczny. Ciemno jeszcze było, kiedyśmy wyszli z noclegu, biliśmy się po stepach śniegu, brnąc po brzuch w jego zaspach bez drogi i bez przewodnika. Co krok to stawać trzeba dla przewiezienia armat po niebezpiecznéj drodze nad przepaściami, które ledwie spostrzedz można było —

*) Uroczysko czyli fortyfikacya, o werst 50 od Tyflisu.

wszędzie biało i biało, ani śladu nogi ludzkiéj, tylko jednę spotkaliśmy złamaną powózkę z bagażów saperów, którzy przeszli wczoraj — koło niéj stał żołnierz na warcie — jeden człowiek wśród téj strasznéj pustyni, wśród téj zamieci, zawiany prawie cały śniegiem — przebyliśmy wreszcie górę Hud i Krzyżową, tu spadły zaspy śniegu i nowe groziły upadkiem, już kilku na przodzie żołnierzy przybiła jedna zaspa i aż w Terek z sobą zaniosła. Trzeba rozkopywać te góry śniegu, trzeba stać kilka godzin po pas w śniegu na jedném miejscu, bo nie ma gdzie się podziać, a tu nad głową wisi nowa zaspa — przyznam się jednak, nie czułem żadnego strachu, wszystko straszne z daleka tylko, niczém jest największa okropność, kiedy się już w niéj znajdujem. — Rzuciliśmy obóz w górach, sami tylko z armatami przywlekliśmy się do Kobii w noc późną; dzięki wysłanym ztamtąd mieszkańcom dla oczyszczenia drogi, bo krok za krokiem konie i ludzie topili się w śniegu i armaty grzęzły lub się wywracały — przeziąbłem cały, nie ma się czém ogrzać — chce się herbaty, ale drew nie ma; szczęściem po długiém szukaniu znalazł żołnierz polano w Duchaccie (folwarczek), które za pół rubla srebrem odstąpił. Nazajutrz uczułem ból oczu od śniegu — nie uważałem pierwéj, że mi twarz paliła; spojrzę na żołnierzy, a tu tłum ślepców, jeden drugiego wodzi; wkrótce i ja oślepłem zupełnie, krzyczałem z bólu. Na trzeci dzień do marszu — posadzono mnie na konia i ja z zawiązanemi oczyma jak Fortuna ślepa, puściwszy cugle na wolę koniowi, przybyłem wraz z oddziałem do Władykaukazu, pomału zacząłem przezierać i dzięki Bogu przejrzałem zupełnie, a dowiedziałem się późniéj, że wielu żołnierzy na wieki wzrok postraciło. Na drugi dzień kazano iść daléj i na pewną już potyczkę z Czeczeńcami, którzy się w okolicy téj pokazali. Nazajutrz złączyliśmy się z drugim oddziałem, który niedawno odbył już jednę potyczkę. Stanęliśmy obozem w pewnym wąwozie, nie mogąc się daléj posuwać w lasy, bo nasza była bardzo mała siła, a donoszono, że z przeciwnéj strony było około 7000. Co nocy spodziewano się napadu, rozstawione sekreta i łańcuch zastrzelczyków w około obozu, wszystko w gotowości, największa cichość. Wieleby było opisywać nasze marsze wzdłuż i w szerz, a wszystkie prawie na jedném miejscu — marsze, które więcéj 2000 werst złożyły, a które popamiętają dobrze moje nogi i ręce, bom konia przy armacie wodził. Wieleby przytém było opisywać i chłód i głód i wszelkiego rodzaju niewygody — powiem tylko o dwóch walnych bitwach, gdziem brał późniéj udział.

Złączywszy się z oddziałem, o którym wspomniałem, w liczbie 1000 ludzi, 100 kozaków i 7 armatek trzyfuntowych, zaczęto działać zaczepnie, co się wkrótce w odporne zmieniło, gdyż siła przeciwników dziesięć razy większą była. 27. Kwietnia 1840. przeprawiwszy się wpław przez rzekę Assę, bo tu nigdzie mostów nie ma, stanęliśmy około aułu Achubarza; był pusty, w lesie tylko na około widzieliśmy dymy, a nawet kiedy niekiedy błyskała broń od słońca po podbrzeżnemi drzewami i widać było ludzi, jak się przesuwali — noc jednak przebyliśmy spokojnie. Nazajutrz przeprawiwszy się przez rzekę Mortankę, wyszliśmy z lasu na obszerną dość równinę, otoczoną lasem; pod tym lasem był wielki auł, który szliśmy palić, w największym bojowym porządku. Zaraz wszczęła się walka z awangardą — było to o godzinie 10téj zrana, dano ognia z armat zwolna i uroczyście, posuwaliśmy się ku aułowi; granat go zapalił — wypędzeni mieszkańce odstrzeliwali się z lasu, kozacy dopalać zaczęli słomą, wkrótce cały auł poszedł z dymem; drugi naprzeciw sami mieszkańce zapalili. Tak to te dwie wielkie pochodnie przyświecały całéj bitwie, chociaż ich i nie potrzeba było, bo słońce paliło ciężko. Stanęliśmy nad drugą rzeczką obozem, w około łańcuch ciągły utrzymywał ogień — nie jedna kula świsnęła przy wozach, choć stałem w obozie przy mojéj armacie; to trwało do zachodu słońca. Coraz prowadzono rannych, coraz oswajałem się z widokiem śmierci, chociaż prawdę powiedziawszy, ani mi ona w głowie była, jak i w każdym podobnym razie. Ucichło wszystko, noc była jak najpogodniejsza, paliły się ognie, lecz nie było przy nich czego gotować; jedni tylko kozacy po kilkadziesiąt kur zrabowanych gotowali w kotłach. O świcie żałobny jęk Mułły (duchowny muzułmański) słychać było w lesie; był to głos zwołujący na modlitwę Muzułmanów, i jakoby matki, przeczuwającéj stratę swych dzieci. Trudno się było daléj posuwać, bo za rzeczką, nad którą nocowaliśmy, wielka była zasadzka — cofnęliśmy się więc nazad. Omyleni w swéj nadziei Czeczeńce, po kilku sadzali na konie, aby nam przeciąć przeprawę przez Mortankę, a tymczasem drudzy odstrzeliwali nas w koło; przyszło nareszcie do przeprawy — tu prawdziwe piekło: wyobrazić sobie należy ciasne miejsce między lasem, gdzie płynie bystra rzeka, część ludzi brnie wpław, nurt ich unosi, gdy tymczasem druga część broni ich, ciągły utrzymując ogień, w około Czeczeńców jak mrówek, napadających z szaszkami, kindżałami i ze strzelbą, ryk naszych armat, ciągły huk batalionowego ognia, trzask lasów, dzikie krzyki, zamieszanie, gdzie wszystko

jak w kotle, okryte gęstym obłokiem dymów, gorąco jak w hucie, to będziesz mieć wyobrażenie téj przeprawy. Awangarda przeszła i ja z nią, rad, żem się wyrwał choć na chwilę, gdy w tém rozkazują, aby działo, przy którém byłem, szło na pomoc, gdyż tam u jednego złamała się oś od częstych wystrzałów i wielkie niebezpieczeństwo — gdyż tu armatami tylko od Czeczeńców się bronią, inaczéj żadna siła ich nie wstrzyma; dla tego to gorale nazywają armaty szajtanami (djabłami). Rzuciłem się znowu w ten odmęt, gdy na samym wstępie poczęstowała mnie w łeb kula — ale łeb mocny, bo odskoczyła; głowa mi się zakrążyła, krwawy guz nabiegł na skroniach. Długi czas upłynął, nim przeprawiliśmy się wszyscy. Sądziłem, że już koniec będzie, ale gdzie tam! przeprowadzali nas jeszcze górale kilka werst, odgrażając się ciągle, że tak do samego Władykaukazu pędzić nas będą — a tu trzeba iść krok za krokiem, co chwila: stój! i pal z armat! — a armaty w łańcuchu, bo maleńkie, a gdzie ja? przy armacie i w aryergardzie — kule jak pszczoły, a kiedy z armat wystrzelą, koń się rzuca i bije; ja go uhamować nie mogę, bom wreszcie i siły stracił, których i tak nie miałem. Upał jak w piecu, wody nie ma, zapiekł się język i przysechł do podniebienia, czułem ogień w piersiach, nie mógłem mówić, wreszcie już daléj nic nie słyszałem i nie widziałem, jakiś tuman tylko z całym światem w około mnie krążył. Ani mi w głowie Czeczeńce i kule, a nie ma komu mnie zmienić, a konia odstąpić nie mogę, który mnie do reszty dobija.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Chińczykowie jak wiadomo prowadzą teraz wojnę z Anglikami; wystawili przeto w Kantonie ogromną machinę, coś nakształt pływającego miasta, i tę mieli zamiar wysłać naprzeciw nieprzyjaciołom. U machiny téj były dwa wielkie koła, nakształt kół okrętów parowych, które chcieli za pomocą 80 ludzi w bieg wprowadzić. Z każdéj strony znajdowały się galerye dla żołnierzy i drzwi spuszczane, aby uchronić się przed strzałami Anglików, których nadzwyczajnie się obawiają. I wielkie armaty chciano zaprowadzić na tém pływającém mieście, które strzałami aż nieba sięgać miały, ale z niemi nie przyszło do rozprawy podczas napadu Anglików. Nawet konie morskie i inne straszydła wyrobiono z drzewa, aby straszyły »angielskich barbarzyńców«, ale to wszystko nie pomogło; Anglicy zdobyli wały Kantonu.

L e k a r z w d o m u w a r y a t ó w. Sławny lekarz angielski Astley Cooper często zwykł opowiadać o zdarzeniu, które go spotkało w Szkocyi w czasie podróży: »Nazajutrz po mojém przybyciu do Edynburga,« są słowa jego — »spałem jeszcze, kiedy silnie do mnie zapukano. Zapytałem, kto mnie budzi tak rano, odpowiedziano za drzwiami: »czy pan się nazywasz Cooper?« — »Tak jest.« — »Astley Cooper?« — »Tak.« — »Pan przybyłeś wczoraj z Londynu?« — »Tak.« — »Więc pan otwórz, bo jesteś tym, którego szukamy.« Nie wątpiłem, że chcą ze mną rozmawiać i otworzyłem drzwi. Przed drzwiami stał konstabel i trzech pachołków.

»Prosimy pana ze sobą.«

»Dokąd?«

»Tam, gdzie nam rozkazano pana zaprowadzić.«

»Ja nie pójdę, jeżeli w téj mierze nie otrzymam objaśnienia.«

»Tego nie dam, waryatom nie daje się żadnego objaśnienia.«

»Waryatom?!« zawołałem.

»Tak, biedny człowiecze. Od trzech miesięcy szuka cię twoja rodzina i żona, którą tak niebezpiecznie raniłeś; bez jéj wskazania nie bylibyśmy wpadli na ślad twój. List od ciebie do wuja wykrył wszystko, i twoją ucieczkę z Londynu i twoje tutaj przybycie. Ponieważ teraz w chwilach jesteś przytomności, proszę ze sobą bez żadnych odwłoczeń.«

»W okropnym zostajecie błędzie panowie,« odrzekłem ze śmiechem. »Pozostawcie mnie w pokoju, bo nie jestem waryatem, którego szukacie, lecz lekarzem nadwornym księcia Walii. Proszę, oddalcie się.«

»Pójdźcie tu!« zawołał konstabel na swoich ludzi — »chwytajcie go, wiążcie i prowadźcie do domu waryatów doktora Goldsmitha!«

Zanim zdołałem się obrócić, już mnie schwytano i do pojazdu wtrącono, który stał przed bramą, i odwieziono mnie do domu waryatów. Jakkolwiek nieprzyjemną dla mnie była ta omyłka, nie miałem jednak obawy żadnéj, aby lekarz nie miał się natychmiast poznać na pomyłce konstabla. Dr. Goldsmith był nawet jednym z tych lekarzy, z którymi postanowiłem się zaznajomić. Sława jego nie była pospolitą. Miał on, jak opowiadano, wcale nowy rodzaj leczenia posiadać i dla tego byłem ciekawością zdjęty. W pół godziny przybyliśmy do domu lekarza, ale wystawcie sobie moje przerażenie na widok lekarza, w którym poznałem człowieka podeszłego, leczonego przezemnie przed dwoma laty na waryacyą. Przyznać muszę, żem zadrżał z przestrachu, zwłaszcza, że mniemany lekarz także mnie poznał. »Aha!«

rzekł on, ciskając na mnie wzrok tylko waryatom właściwy — »jak się pan masz, proszę siedzieć. — Tuszowania, krwi puszczanie, ścisła dieta i kąpiele!« dodał, powtarzając moje własne słowa i naśladując moje jesta dawniejsze.

»Ale, kochany doktorze!« rzekłem — »na miłość boską, ja nie jestem chory, to tylko błąd....« — »Znam, znam,« odrzekł z uśmiechem. »Waryaci nie znają własnego stanu, to właśnie dowodzi pomieszania ich umysłu.« — I to mu dawniéj często powiadałem. — »Wypełniajcie moje rozkazy,« rzekł do swoich ludzi — »aż sam wyzna, że jest waryatem. Naprzód krwi puszczenie nastąpi, potém tuszowanie i głód, potém wielki wodotrysk, wyrwanie trzech zębów, bastonada i koza.« Drzałem od stóp do głowy, bo takie postępowanie mogło mnie w rzeczy saméj o pomieszanie zmysłów przyprawić. Co miałem czynić? Postanowiłem nakoniec oświadczyć, żem jest waryatem, aby na czasie zyskać. Lekarz oddalił swoich ludzi, a kiedy sam na sam z waryatem pozostałem, rzucił się jak wściekły na mnie. Ręce związano mi wprzód, nie mógłem przeto stawiać oporu; zmuszony zostałem poddać się najokropniejszéj dzikości waryata. Bił i gryzł mnie, deptał nogami, włóczył za włosy, a kiedy z wściekłości cokolwiek ochłonął, oddał mnie dozorcom. Nie wiem, jakim sposobem moje zdrowie i mój rozum oparły się tym cierpieniom. Tak upłynęły trzy tygodnie, trzy wieki dla mnie. Potém przybyło kilka osób do mojéj celi, patrzały z zadziwieniem na mnie, i rzekły do Goldsmitha im towarzyszącego, że mnie nie znają, że nie jestem ich krewnym Astleyem Cooperem. W niewielu słowach wyłożyłem tym ludziom stan mój opłakany i prosiłem o wybawienie mnie z niewoli, a przynajmniéj, aby pisały do mojéj rodziny do Londynu. Goldsmith śmiał się ze mnie i wmawiał w przytomnych, żem ja najniebezpieczniejszy ze wszystkich waryatów w jego zakładzie. Na szczęście dopatrzył we mnie pewien lekarz przytomny i towarzysz pierwszych, podobieństwo w rysach moich do obrazu, któren widział w zbiorze rycin. Rozmawiałem z nim i on oświadczył gotowość swą do zabrania mnie ze sobą. Goldsmith wpadł w wściekłość na te słowa i przysiągł, że mnie nie wypuści. Obcy lekarz porozumiał się z towarzystwem przybyłém, i prosił, aby mnie za krewnego uznało, dla uratowania mnie od dalszych napaści. Zezwolili na to i ja wydobyłem się w ten sposob z mojego więzienia. Natychmiast wniósłem o śledztwo sądowe, i pokazało się, że tak nazwany Dr. Goldsmith był waryatem nazwiskiem Rielson, który z Bedlam umknął, lekarza jednego zamordował i papiery jego zabrał. W Edynburgu kupił dom waryatów, któren założyciel mu przedał. Nie uważano po nim pomieszania zmysłów i przypisywano szczególniejsze postępowanie jego duchowi niespokojnemu, który odznacza wielu uczonych. Skoro sąd przekonał się o właściwém rzeczy położeniu, rozkazał zamknąć dom waryatów tak zwanego Dr. Goldsmitha i oddał go do domu waryatów w Bedlam. Sławny Astley Cooper w trzech tych tygodniach zupełnie osiwiał.

W Everdon pod Liverpolem wystawiono kościół z lanego żelaża, jest to pierwszy w Anglii tego rodzaju. Drzwi, ramy u okien, belki, podłogi, deski i ozdoby są z lanego żelaza. Kościół ten jest 119 stóp długi i 47 stóp szeroki. Światło wpada oknami z żelaznych ram i szkła malowanego. Już od lat dziesięciu znajdują się we wielkich fabrykach angielskich drzwi, wschody, podłogi, kominy i ramy u okien wyłącznie z żelaza. W Anglii żelazo jest tanie, drzewo budulcowe drogie i dla tego mniejsze są wydatki na żelazne niż na budynki z drzewa stawiane. W trwałości i piękności daleko przechodzą drewniane. Skoro są wystawione, nie wymagają napraw, a ozdoby najpiękniejsze nie więcéj kosztują jak zwyczajne lane żelazo.

Donieśliśmy w roku przeszłym, że dyrektor opery wielkiéj w Paryżu przejeżdżając przez Rouen usłyszał śpiewającego bednarczyka na ulicy. Głos giętki, obszerny i łatwy do najpiękniejszych zwrotów, tak dalece jemu spodobał się, iż bednarczyka pod pewnemi warunkami zabrał ze sobą do Paryża. Już rok temu, jak głos swój w utajeniu ćwiczył, dziś po pierwszém wystąpieniu w operze tak dalece i tak powszechnie podobał się słuchaczom, że i maszyniści opery postanowili złożyć mu hołd czci i podziwienia. Poultier, tak się nazywa ten nowy tenorysta chciał wdzięczność swą, jak zwyczaj niesie pieniędzmi okazać, lecz mu za nie podziękowano. »Pan byłeś rzemieślnikiem takim jak my dzisiaj«, rzekli do niego, »a jeżeli dziś tenoryście składamy hołd życzeń, to część tych życzeń należy się naszemu dawnemu towarzyszowi i dla tego nie przyjmujemy pieniędzy. Poultier ściskał wszystkich po kolei ze łzami w oczach. »Ot te łzy, panie Poutlier,« rzekł jeden z tych ludzi, »większą mają dla nas wartość, aniżeli złoto tego świata. Uspokój się, wypijemy za twoje zdrowie i powodzenie, starać się będziem przysłużyć ci się tém, co jest w naszéj mocy.«

W New-Hampshire w Stanach Zjednoczonych jest prawo, w moc którego każda kobieta, co mieszka przez dwa lata w tym kraju bez wezwania jéj przez męża, może wnieść u sądu o rozwód. Młoda Ame-

rykanka pierwszą była, która wezwała w pomoc to prawo. Była francuzkiemu hrabiemu zaślubioną, lecz nie będąc szczęśliwą w tém małżeństwie, schroniła się do New-Hampsire. Sąd wyrzekł rozwód i upoważnił ją do zatrzymania dziecka u siebie. Łatwiéj nie można się uwolnić od męża.

Ludwik, książę Bawaryi, otrzymał przydomek okrutnego, z powodu okropnego czynu, którego się dopuścił. Żona jego Marya, księżniczka brabancka, pisała pod niebytność męża list do niego i do hrabiego Rucho, zaprzyjaźnionego z jéj domem. Dla rozróżnienia nacechowała list do męża czerwonym, do hr. Rucho czarnym woskiem, a jednak posłaniec nie umiejący czytać pomylił się w oddaniu. Książę znalazł w liście pisanym do hrabiego kilka słów dumie jego uwłaczających i które obudziły w nim zazdrość. Natychmiast pojechał do Donauwerth, przebił w napadzie wściekłości naczelnika straży pałacowéj, a księżnie przestraszonéj odczytał list, dodając: »słowo przyjaźni w ustach uczciwéj kobiety postać nie powinno i ono zawsze służy za płaszczyk miłości, i dla tego winnaś śmierci«; — nazajutrz ścięto ją. Pannę pokojową, Helichen z Bruneburga, przebił nożem, a ochmistrzynią kazał zrzucić z baszty. Zaledwie dokonał tych mordów, a już bolesne wyrzuty sumnienia dokuczać mu poczęły i choć dopiero lat 27 liczył, w jednéj nocy z rozpaczy osiwiał. Na przebłaganie Boga zaczął stawiać klasztory, między innemi w Fürstenfeldzie, w którym pokuta jego w wierszach opisana, wrytą była w ścianę kościoła. W kilka lat potém wyprawiał cesarz Rudolf gonitwy w Kolonii, na które Ludwika zaproszono. Tu widział stu najpierwszych rycerzy, którzy za godło na chorągwiach, głowę ściętą kobiety przyjęli.

Książę Lichnowski opisuje w swych pamiętnikach hiszpańską arystokracyą, zdejmując jéj obraz z pierwszego szlachcica Hiszpanii, hrabiego Astoryi, markiza Altamira: »jest to czysty typ granda hiszpańskiego, jak stopniami zniżył się tak we względzie fizycznym jakotéż moralnym do stanu zupełnéj stępiałości. Mały, chorowity, ciała w podrygach nieustannie zostającego, brzydkich rysów twarzy, zaniedbany w zewnętrznéj postaci i pierwszych zasadach ochędóstwa, wzrok głupio przed się toczący, to jest widok na pierwsze spojrzenie. Daléj niewiadomość bez granic pierwszych początków wychowania, dumna wzgarda wszelkich nauk i umiejętności, nieznośna pycha względem drobnéj szlachty, szczególniéj naprzeciw obywatelom, artystom, uczonym i kupcom, połączona z familijną względnością ku własnéj służbie, z którą poufnie żyje, najpodlejsze czołganie się przed wszystkiém, co w bliższych lub dalszych stoi stósunkach z osobą królewską, jako do pałacu należącém. Ten pociąg do królewskiego słońca, całe ich życie zapełnia i wszędzie się znachodzić daje. Grand żyjący u dworu, który klucz nosi szambelański, nazywa siebie w dumnéj pokorze un criado, lokajem, pachołkiem, nikczemném naczyniem jego król. mości i t. d.

Pieniężna J. Rothschildowa w Paryżu przesadziła modę samą, która teraz wymaga przepychu w pokojach. Ktoś dziwił się urządzeniom domu. »Nie mogłam wszystkiego tak urządzić, jak sobie życzyłam,« odpowiedziała; »mój mąż nie chce więcéj wydawać jak 100,000 franków na urządzenie mojéj sypialni, dla tego byłam przymuszoną ograniczyć się.« Sypialnia ta, na którą narzeka pani J. Rothschild odznacza się marnotrawstwem w sutych koronkach, z których najsudanniejsze nawet damy w stroju największym tylko połłokcia nosić zwykły. — Wszystkie krzesła w salonie, na któren także skąpi Rothschild, nie z bronzu, ale z srebra pozłacanego są zrobione. — Nie jeden zapyta zkąd te bogactwa, to nieprzebrane marnotrawstwo? Kto wie jakie pożyczki Rothschildowie co rok z rządami zawierają, jak skarbami narodów frymarczą, łatwo temu niezmierność źródeł tych bogactw wyjaśnić. Lecz kto cierpi, kto długi te spłaca? — ludy w podatkach.

Osobliwsze zwłoki. Pod rządem papieża Pawła trzeciego otworzono kilka grobów pogańskich, które się na ulicy apiańskiéj znajdują. Między innemi zwłokami dochowało się ciało jednéj dziewicy pięknéj, która w woniejącym soku złożoną została. Wpływ zapewne tego soku dochował ciało tak świeżo, że zdawało się, iz dziewica co tylko zamarła. Piękne długie blond włosy, splecione były we wielki na okół głowy warkocz, otoczony szeroką złotą obręczą. Ze znaków na niéj zawartych obrachowano, że ciało to już 1500 lat w grobie spoczywało i według prawdopodobieństwa była to córka Cycerona, Tulia. Zwłoki przechowano w kapitolu, ale że zabobonną cześć im oddawano, na rozkaz papieża w Tybrze utopiono. O ten sam czas odkryto groby dwóch córek Stilicona, Maryi i Termancyi, poślubionych cesarzowi Honoryuszowi. Miały na głowach złotą koronę i obsypane szaty drogiemi kamieniami. Grob był czworokątny, z białego marmuru. Wszystko okrom złota i kamieni zamieniło się w popiół za zetknięciem się z powietrzem.

Anglik zwiedzający wystawę przemysłu w Brukseli dał zdanie o wyrobach tamecznych, iż one mają w sobie coś grubego, niezgrabnego, a w guście i stylu nędznie naśladują wzory francuzkie. Je-

dne koronki go zaspokoiły; para jedwabnych rękawiczek cenionych piętnaście tysięcy franków, dosyć były piękne i zasługiwały aby je nie królowa belgijska, ale bogini jaka nosiła. Przeznaczone były dla królowéj, ale jak się dowiedziała ile kosztują, przeprosiła przedawców z tą uwagą, iż nie posiada tyle dochodów, ażeby sobie pozwolić tak znacznego wydatku na jednę parę rękawiczek.

Pierwsza peruka, o któréj w dziejach wspomniano, była zrobioną z koziéj skóry, któréj użyła córka Saula, dla uratowania życia swego męża. Podobnie za czasów Dawida używano sztucznych włosów. Clearch, uczeń Arystotelesa przypisuje wynalazek peruk Japańczykom i zdaje się że wcześniéj mężczyzni niż kobiety je nosili. Kiedy Cyrus był małym chłopcem i widział swego dziada Astyagesa w Medyi po raz pierwszy, zawołał ze względu na włosy (sztuczne) jego: »Ach matko, jak ładny jest mój dziadunio!«

MODY. — Paryż, dn. 2. Listopada 1841. Płaszcze, opony, burnusy, długie szale i t. d. znajdują się w niezliczonéj liczbie do wyboru. Wyrabiają je z brunatnego aksamitu, podszywając białym atłasem i osadzając w około sutą robotą szmuklerską; z brunatnego atłasu z trzykrotném bramowaniem aksamitném i koronkami; inne jeszcze z ciemno-niebieskiego kaszemiru z bramowaniem pluszowém lub z białego aksamitu we wzory kaszemirowe; daléj z czarnego aksamitu z haftem sznurowym na około; z pensée kolorowéj mory, z peleryną i klapami aksamitnemi w tym samym kolorze.

Na mniejsze wieczorne zebrania nosić będą téj zimy długie szale siatkowe, z tłém jednakowem.

Widzieliśmy w tym tygodniu wiele szlafroczków atłasowych lub morowych z klapami aksamitnemi z przodu i z pelerynami aksamitnemi. Szlafroczki z pekinu, z trzema pasami po każdéj stronie powłoki, które ku dołowi zaokrąglone, w trzech oddaleniach utrzymywały się za pomocą trzech guzików. Te pasy orzucone były z jednéj strony fręzlą, z drugiéj piękném bramowaniem. Daléj suknie czarne atłasowe z pasami w poprzek z przodu na powłoce aksamitnemi, które w końcu ozdobione były kokardą ze sznura, kończącą się kutasem. Głęboko wycięty stanik miał takież pasy poprzeczne z aksamitu, i podobne obcisłe rękawy. Pod stanikiem tych sukien noszą tak zwane guimpes z tulu lub koronek.

Peleryny purytanek całkiem z koronek upowszechniły się.

Z nowych tkanin o których już wspomnieliśmy, szczególniéj na uwagę zasługują:

na szlafroczki, fulardy atłasowe i perskie damasty, tkaniny we wielkie i piękne wzory;

na suknie ranne: lasting wełniany;

na suknie wizytowe: gourgouran, tkanina jedwabna, mocna, z wyrabianą wązką linią w innym kolorze jak tło sukni; alhambra, tkanina jedwabna we wzory maurytańskie, w kolorach najrozmaitszych;

na suknie po domu: varpour, coś nakształt lewantyny przerabianéj; orientale, pewien rodzaj lewantyny błyszczącéj z małym rzucikiem:

na suknie balowe: diamantine, tkanina z łyszczącym rzucikiem, tak iż wygląda jak splot samego srebra i złota; atłas ispahański, tkanina w pasy atłasowe i z wyrabianemi pojedyńczemi kwiatami w jaskrawych kolorach; pompadour pekin, odznaczający się wrabianemi bukietami.

Suknie na wyjście ranne są po większéj części w kroju amazońskim.

Czasem są wyłogami opatrzone i z małym wywróconym kołnierzem, tak jak u fraków.

Suknie wizytowe mają poczęści stanik obszyty, i wązkie rękawy, które w rozmaity sposób stroją.

W miejsce słomkowych kapeluszy, nastały atłasowe, zdobne maleńką zasłoną, którą z przodu u obwodu wiążą. Kapelusze strojne wyrabiają z zielonego, różowego, niebieskiego i cytrynowego repsu. Kapelusze z wystającą na prost główką zdobią piórami lub kwiatami z aksamitu. Widzieliśmy piękny kapelusz z białego atłasu, zdobny różą kapucyńską z aksamitu. Niektóre gałązki tego kwiatu zachodziły w barbkę z jedwabnéj koronki, dla wystrojenia części wierzchniéj obwodu.

Objaśnienie ryciny.

1. Najnowszy płaszcz męzki z kapturem, greckiemi rękawami i pasamonami. Obcisłe pantalony.
2. Kapotka aksamitna, zdobna piórami. Szlafroczek z pasiastéj tkaniny jedwabnéj. Stanik od ramion do ujęcia w fałdy układany.
3. Ubiór jesienny. Kapelusz aksamitny zdobny kwiatami i piórami. Najnowszy płaszcz z kaszemiru, osadzony kolorowym pluszem. Suknia z rękawami obcisłemi.
4. Kapelusz atłasowy, zdobny słaniającemi się piórami, obwód podszyty falbaną koronkową. Szlafroczek z grosdenaplu. Stanik gładki, rękawy obcisłe.
5. Kapelusz jak u Nru 3. Szlafroczek z mieniającéj tkaniny, pasamonami wystrojony. Rękawy z stanikiem; mają ukosy.

Redaktor: *N. Kamieński.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*


L. Brückner sc.